

**KLASYKA
KRYMINAŁU
Z JOHNEM
REBUSEM**

IAN RANKIN

**ŻYCIE INSPEKTORA REBUSA ZACZYNA
PRZYPOMINAĆ CZARNĄ KOMEDIĘ,
A JEGO PRACA ZAMIENTA SIĘ W HORROR.**

CZARNA KSIĘGA

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE BLACK BOOK

Copyright © John Rebus Limited 1993
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Bogusław Stawski 2009

Redakcja: Józef Wiczfiński

Projekt graficzny okładki i serii: Agnieszka Drabek

Zdjęcie na okładce: © Tom Robinson/Arcangel (*postać*);
Renaissance Art/Shutterstock (*woda*); Vita Leonis/Unsplash (*niebo*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatros



DETEKTYW EDYNBURSKIEJ POLICJI

John Rebus

Szkocki twardziel, który podczas konfliktu irlandzkiego służył w brytyjskiej armii i przeszedł szkolenie w elitarnej jednostce SAS.

Słucha muzyki klasycznej, jazzu, ale też rocka: Rolling Stonesów, The Who czy Jethro Tull. Ma imponującą kolekcję płyt – winylowy gość w zdigitalizowanym świecie.

Jeździ kultowym Saabem 900.

Powiedzieć, że nie stroni od alkoholu, to niedomówienie: pije piwo (głównie IPA) i whisky (jego ulubiona to Bell's), najchętniej w edynburskim Oxford Bar. I pali, o wiele za dużo.

Ma córkę i jest rozwiedziony. Jeśli chodzi o kobiety, raczej brakuje mu szczęścia.

Nieufny wobec autorytetów, postrzega świat w czarno-białych kolorach, a ludzi dzieli na dobrych i złych.

Szlachetny samotnik, trochę nieokrzesany, który dobre serce maskuje szorstkim usposobieniem i złośliwym poczuciem humoru.

I za to go kochamy!

PROLOG

JECHALI WE DWÓCH FURGONETKĄ już od wczesnego ranka. Reflektory z trudem przebijały się przez mglistą bryzę wiejącą od Morza Północnego. Mgła była gęsta i biała jak dym. Kierowca prowadził samochód ostrożnie, zgodnie z otrzymanymi instrukcjami.

– Dlaczego wypadło właśnie na nas? – zapytał, tłumiąc ziewnięcie. – Nie mogli pojechać tamci dwaj?

Pasażer był solidniej zbudowany od swojego kompana. Mimo przekroczonej czterdziestki nosił długie włosy, przycięte na kształt niemieckiego hełmu z czasów wojny. Przeczesał palcami lewą stronę głowy, starając się je wyprostować. Przez moment jednak trzymał się boków siedzenia. Nie podobało mu się, gdy kierowca przymykał oczy podczas zbyt częstego ziewania. Pasażer nie lubił gadulstwa, ale pomyślał, że może rozmowa nieco orzeźwi jego towarzysza.

– To tylko tymczasowe zajęcie – odpowiedział. – Poza tym przecież nie robimy tego każdego dnia.

– I dzięki Bogu. – Kierowca znowu mocno zmrużył oczy przy kolejnym ziewnięciu i furgonetka zaczęła zjeżdżać na trawiaste pobocze.

– Może ja poprowadzę? – zaproponował pasażer i

uśmiechnął się. – Możesz zdrzemnąć się z tyłu.

– Bardzo śmieszne. No i jeszcze jedna rzecz mnie wkurza, Jimmy. Ten smród!

– Mięcho zawsze zaczyna śmierdzieć po pewnym czasie.

– Ty to masz odpowiedź na wszystko, co?

– Tak.

– Już dojeżdżamy?

– Myślałem, że znasz drogę.

– Na drogach głównych daję sobie radę, ale w tej mgle...

– Jeśli trzymamy się wybrzeża, to znaczy, że nie jest już daleko. – Jimmy kontynuował w myślach swój wywód: jeśli trzymamy się wybrzeża, to wystarczą dwa koła poza krawędź drogi i spadniemy z klifu. Nie tylko to było powodem jego zdenerwowania. Nigdy wcześniej nie korzystali ze wschodniego wybrzeża, ale zachodnie zaczęło przyciągać zbyt dużo uwagi. A to był ich dziewiczy wypad i dlatego tak się niepokoił. – O, drogowskaz.

Zatrzymali samochód, by przez gęstą mgłę odczytać kierunek jazdy.

– Następna w prawo – oznajmił kierowca i ruszył. Po chwili wrzucił kierunkowskaz i przejechał przez niską, w połowie uchyloną żelazną bramę. – A co zrobimy, jak będzie zamknięta na kłódkę?

– W bagażniku są cęgi.

– Cholera, naprawdę masz odpowiedź na wszystko.

Wjechali na mały szutrowy parking. Przez mgłę nie widzieli porozstawianych wokół drewnianych stołów i ławek, gdzie zwykle rodziny organizowały sobie niedzielne pikniki i walczyły z komarami. To miejsce było popularne ze względu na ciekawy widok – niekończące się morze i niebo, łączące się na horyzoncie. Gdy otworzyli drzwi, poculi i

usłyszeli morze. Nad głowami darły się mewy.

– Musi być później, niż myśleliśmy, skoro ptaki już latają.

Podeszli do tylnych drzwi furgonetki i jeden z nich szarpnął za klamkę. Smród coraz mocniej dawał się we znaki. Nawet pełen stoickiego spokoju Jimmy starał się zacisnąć nos, by powstrzymać oddychanie.

– Im szybciej, tym lepiej – wyrzucił z siebie pospiesznie.

Ciało było zapakowane w dwa plastikowe worki po nawozie sztucznym, jeden naciągnięto od strony stóp, a drugi od głowy tak, by nakładały się na siebie pośrodku. Worki sklejo no taśmą i związane dodatkowo sznurem. W środku były już betonowe bloczki, obciążające pakunek. Nieśli tę groteskową paczkę nisko nad ziemią, ocierając ją czasem o mokrą trawę. Gdy wreszcie dotarli do tablicy ostrzegającej przed uskoki em klifu, w butach zaczęła im chłupotać woda. Pokonanie ogrodzenia wykonanego z chwiejnej siatki okazało się jeszcze trudniejsze.

– Taka siatka nie zatrzyma przecież żadnego cholernego bachora – skomentował jej jakoś kierowca. Przełykał w ustach gęstą jak klej ślinę.

– Mam to gdzieś – odpowiedział Jimmy. Podnosili pakunek z mozołem po kilkanaście centymetrów, aż do momentu, gdy mogli go wreszcie przerzucić nad ogrodzeniem. Za siatką nie było gruntu, tylko opadające wprost do wzburzonego morza urwisko. – No to już. – Bez zbędnych ceremonii wyrzucili ciało w pustą przestrzeń, ciesząc się, że mają kłopot z głowy. – Jedźmy stąd.

– Chłopie, ależ to powietrze pięknie pachnie. – Kierowca sięgnął do kieszeni po ćwiartkę whisky. Zbliżali się już do parkingu, gdy usłyszeli jakiś samochód od strony drogi i po

chwili chrzęst jego kół na szutrze.

– Do jasnej cholery!

Światła samochodu omiotły ich, gdy docierali już do furgonetki.

– Pierdolona policja – jęknął kierowca.

– Stul pysk. – Jimmy powiedział to cichym głosem, ale jego oczy zdradzały zaniepokojenie. Usłyszeli zaciąganie hamulca ręcznego. Uchyliły się drzwi radiowozu i wyszedł z niego mundurowy. W ręce trzymał latarkę. Zostawił włączone światła i silnik. W środku nie było drugiego policjanta.

Jimmy uznał, że to nie jest zasadzka. Przypuszczalnie gliniarz był przed końcem nocnej zmiany, a w radiowozie miał termos lub koc. Przyjechał napić się kawy albo zdrzemnąć przed końcem pracy.

– Dzień dobry – powiedział mundurowy. Nie był już młody i raczej nie przywykł do poważnych kłopotów. Pewnie najwyżej do mordobicia w barze albo waśni sąsiedzkich między farmerami. Była to dla niego kolejna nudna zmiana, kolejna noc przybliżająca go do emerytury.

– Dzień dobry – odparł Jimmy. Wiedział, że poradzi sobie bez awantury, jeśli tylko jego towarzysz zachowa spokój. Pomyślał jednak, że wygląd kierowcy jest podejrzany.

– Chyba mleko się wylało na drogę, co? – zagaił policjant. Jimmy skinął głową.

– Właśnie dlatego się zatrzymaliśmy – wyjaśnił kierowca.

– Pomyśleliśmy, że przeczekamy, aż się trochę rozjaśni.

– Bardzo rozsądnie.

Kierowca patrzył, jak Jimmy odwraca się w stronę furgonetki i sprawdza lewą tylną oponę. Przeszedł na drugą stronę i zrobił to samo. Potem przyklęknął i oglądał

podwozie. Policjant przyglądał się im.

– Macie jakieś problemy z autem?
– Nie, absolutnie – odpowiedział kierowca nerwowym tonem. – Ale zawsze lepiej wszystko sprawdzić.

– Widzę, że przejechaliście kawał drogi.

Kierowca skinął głową.

– Jedziemy do Dundee.

Zdziwiony policjant uniósł brwi.

– Z Edynburga? Dlaczego nie jechaliście autostradą albo drogą A dziewięćset czternaście?

Kierowca szybko starał się coś wymyślić.

– Musieliśmy najpierw coś dostarczyć do Tayport.

– No tak, ale...

W tym momencie Jimmy wstał z klęczek i stanął za policjantem. W ręce trzymał kamień. Kierowca skupił wzrok na pechowym funkcjonariuszu, gdy ręka z kamieniem uniosła się i gwałtownie opadła. Monolog policjanta urwał się w pół zdania i ciało osunęło się na trawę.

– No to pięknie.

– A co innego mogłem zrobić? – Jimmy skierował się do drzwi pasażera. – No dalej, spadamy stąd!

– No tak... Jeszcze chwila, a zauważyłby twój... eee...

Jimmy spojrzał spode łba na swojego towarzysza.

– Chcesz powiedzieć, że jeszcze chwila, a wyczułby gorzałę w twoim oddechu. – Nie przestawał spoglądać na niego wilczym wzrokiem, dopóki kierowca nie wzruszył ramionami na znak, że przyznaje mu rację.

Zawrócili furgonetkę i wyjechali z parkingu. Mewy nadal głośno skrzeczały w oddali. Silnik radiowozu wciąż mruczał, a lampy oświetlały nieprzytomnego policjanta. Obok niego na ziemi leżała pęknięta latarka.

ROZDZIAŁ 1

TO WSZYSTKO WYDARZYŁO SIĘ tylko dlatego, że John Rebus siedział w ulubionym salonie masażu i czytał Biblię.

To wszystko wydarzyło się tylko dlatego, że jakiś mężczyzna wszedł do salonu masażu, niesłusznie sądząc, że skoro lokal jest usytuowany tak blisko browaru i kilku pubów, to musi obsługiwać przypadkowych ochlapusów i nocnych włóczęgów przepijających piątkową wypłatę.

Tymczasem Organ Grinder, bogobojny najemca tej nieruchomości, prowadził uczciwy zakład, w którym masowano i uklepywano zmęczone mięśnie. Rebus czuł się zmęczony. Zmęczony kłótniami z Patience Aitken, zmęczony tym, że jego brat musiał zamieszkać jako sublokator w mieszkaniu wypełnionym po sufit studentami. A przede wszystkim czuł się zmęczony pracą.

To był wyczerpujący tydzień.

W poniedziałek wieczorem odebrał telefon ze swojego mieszkania przy Arden Street. Studenci, którym wynajął lokum, znali numer telefonu Patience i wiedzieli, że mogą go tam złapać, ale do tej pory nie mieli powodu, by się z nim kontaktować. Do chwili, gdy tym powodem stał się Michael Rebus.

– Cześć, John.

Rebus momentalnie rozpoznał ten głos.

– Mickey?

– Jak się masz, John?

– Jezu, Mickey. Skąd dzwonicz? A nie... chwila. Przecież wiem, gdzie jesteś. Chciałem... – Gdy Michael zaśmiał się miękko, dodał: – Słyszałem, że miałeś wybrać się gdzieś na południe.

– Nie dało rady... – Michael zawiesił głos. – Chodzi o to, John, że... możemy chwilę pogadać? Bałem się do ciebie dzwonić, ale naprawdę muszę z tobą porozmawiać.

– W porządku.

– Mogę wpaść do twojego mieszkania?

Rebus zaczął szybko myśleć. Patience miała odebrać dwie siostrzenice z Waverley Station, no ale...

– Nie, zostań na miejscu. Ja wpadnę do ciebie. Studenci nie są tacy źli. Może zrobisz ci filiżankę herbaty albo skręcić jointa, gdy będziesz na mnie czekał.

Po drugiej stronie linii zaległa cisza, dopiero po chwili Rebus usłyszał głos brata:

– Mogłeś to sobie darować.

Michael odsiedział trzy lata z pięcioletniego wyroku za handel narkotykami. Podczas odbywania kary John Rebus odwiedził go zaledwie kilka razy. Odetchnął z ulgą, gdy brat został zwolniony i wszedł w autobus do Londynu. To było dwa lata temu i od tej pory nie zamienili ze sobą ani słowa. Teraz Michael nagle się pojawił, przywołując złe wspomnienia z okresu, o którym John Rebus wolałby zapomnieć.

Mieszkanie przy Arden Street zostało podejrzenie wysprzątane. Było w nim tylko dwoje studentów, para,

która zajmowała dawną sypialnię Rebusa. Porozmawiał z nimi chwilę w korytarzu. Właśnie wychodzili do pubu i przy okazji oddali mu kolejny list na jego nazwisko z urzędu skarbowego. Szkoda, że sobie idą, pomyślał Rebus. Gdy wyszli, w mieszkaniu zapadła cisza. Domyślał się, że brat siedzi w salonie, i tak właśnie było. Klęczał przed sprzętem stereo i przeglądał płyty.

– Zobacz, co tu mają – odezwał się Michael, odwrócony plecami. – Beatlesi i Stonesi, ta sama muza, której kiedyś słuchałeś. Pamiętasz, jak doprowadzałeś tym tatę do szału? Jak się nazywał nasz stary gramofon?

– Dansette.

– No właśnie. Tata dostał go za kupony z pudełek papierosów. – Michael wstał i odwrócił się do brata. – Cześć, John.

– Cześć, Michael.

Nie objęli się ani nie uścisnęli sobie dłoni. Po prostu usiedli. Rebus w fotelu, jego brat na kanapie.

– To miejsce się zmieniło – stwierdził Michael.

– Musiałem dokupić trochę mebli, zanim je wynająłem.

Rozglądając się po pokoju, zauważył przypalony papierosami dywan, a także porozwieszane na ścianach plakaty, mimo jego szczegółowych instrukcji, by niczego nie przyklejać do tapet. Otworzył kopertę z listem z urzędu skarbowego.

– Żebyś ich widział, jak się rzucili do sprzątania, kiedy powiedziałem im, że wpadniesz. Odkurzyli podłogę i umyli naczynia. Ktoś mówił, że studenci to leniuchy?

– Są w porządku.

– Od kiedy wynajmujesz to mieszkanie?

– Od kilku miesięcy.

- Powiedzieli mi, że mieszkasz z jakąś lekarką.
- Ma na imię Patience.

Michael skinął głową. Był blady i wyglądał na chorego. Rebus starał się nie zdradzać zainteresowania szczegółami związanymi z bratem, ale tak naprawdę był ciekaw. Jak wyczytał w liście, urząd skarbowy doskonale wiedział, że mieszkanie jest wynajmowane, i wyrażał zainteresowanie, czy właściciel nie zamierza w końcu podzielić się dochodem z państwem.

Rebus zaczął odczuwać mrowienie z tyłu głowy. Przydarzało mu się to, gdy był wkurzony, od czasu, kiedy poparzył się ogniem. Lekarze powiedzieli, że nie ma na to rady. No, chyba że nie będzie się wkurzał.

Schował kopertę z listem do kieszeni.

- Czego chcesz, Michael?
- Najważniejsza rzecz, John. Muszę znaleźć kąt dla siebie. Tak na tydzień albo dwa, dopóki nie stanę na nogi.

Spoglądał kamiennym wzrokiem na plakaty, gdy Michael opowiadał o tym, że chce znaleźć pracę, że ma mało pieniędzy, że w sumie weźmie każdą robotę...

- To wszystko, John. Chcę nowej szansy.

Rebus zastanawiał się nad tym. Patience miała wolny pokój w swoim mieszkaniu. Było w nim dosyć miejsca, nawet jeśli siostrzenice zostaną przez jakiś czas. Ale wcale nie miał zamiaru zabierać brata na Oxford Terrace. Życie nie układało się tak łatwo jak kiedyś. On harował do późna, Patience też. Angażując się maksymalnie w pracę, obydwójce często byli po prostu wyczerpani. Rebus doskonale zdawał sobie sprawę, że obecność Michaela w niczym by nie pomogła. Pomyślał, że przecież nie jest aniołem stróżem brata. Ale w końcu to brat.

– Moglibyśmy cię wcisnąć do pakamery. Musiałbym pogadać ze studentami. – Nie wyobrażał sobie, by mu odmówili, ale zawsze grzecznie zapytać. Jak mieli odmówić? On był właścicielem, a przecież trudno w mieście znaleźć mieszkanie na wynajem. Szczególnie ładne mieszkanie, i to w Marchmont.

– Cudownie! – wykrzyknął z ulgą Michael. Wstał z kanapy i przeszedł przez pokój, by obejrzeć pakamerę. Wyglądała jak wentylowana ogromna szafa przylegająca do salonu. Wystarczająco duża, by wcisnąć tam łóżko i komodę z szufladami, jeśli wyniesie się zalegające pudła i rupiecie.

– Moglibyśmy pewnie upchnąć te klamoty w piwnicy – powiedział Rebus, stając za plecami brata.

– John – Michael westchnął – w takiej sytuacji, w jakiej jestem teraz, cieszyłbym się, nawet gdybym musiał zamieszkać w piwnicy. – Odwrócił się do brata i w jego oczach pojawiły się łzy.

W ŚRODĘ REBUS ZACZĄŁ sobie zdawać sprawę z tego, że jego życie to czarna komedia.

Michael wprowadził się do mieszkania przy Arden Street bez żadnych trudności. Rebus opowiedział Patience o przyjeździe brata, ale pominął pozostałe szczegóły. I tak poświęcała dużo czasu córeczkom siostry. Wzięła kilka dni wolnego, by pokazać im Edynburg. Ta wizyta zapowiadała się kłopotliwie, bo piętnastolatka Susan chciała robić wszystko to, czego jej siostra Jenny, ośmiolatka, jeszcze nie mogła robić albo czym zupełnie nie była niezainteresowana. Rebus czuł się niemal całkowicie wyłączony z udziału w

tym kobiecym triumwiracie, choć czasem w nocy wślizgiwał się do pokoju, w którym spała Jenny, by jeszcze raz poczuć magię związaną z widokiem śpiącego dziecka. Starał się tak poruszać po mieszkaniu, by maksymalnie unikać Susan, która stała się już aż nazbyt świadoma różnic między kobietami a mężczyznami.

Był tak zajęty pracą, że nawet nie myślał o Michaelu, w każdym razie nie częściej niż kilkadziesiąt razy dziennie. A praca... szkoda gadać. Po spaleniu się komendy przy Great London Road Rebusa przeniesiono do regionalnej siedziby komendy Dystryktu Centralnego przy St Leonard's.

Wraz z nim przeniesiono detektywa sierżanta Briana Holmesa i ku przerażeniu wszystkich, także komendanta Watsona, zwanego Farmerem, i szefa dochodzeniówki, Lauderdale'a, zwanego Pierdzielem. Oczywiście dostali coś za coś – nowsze biura i meble, czystsze łazienki i lepszy sprzęt biurowy, ale i tak im było mało. Rebus nadal próbował się zorganizować w nowym miejscu. Wszystko tu było tak czyściutkie i poukładane, że nigdy niczego nie mógł znaleźć, dlatego chętnie opuszczał komendę i wychodził na miasto.

Właśnie z tego powodu znalazł się teraz u rzeźnika przy South Clerk Street i spoglądał na ugodzonego nożem faceta.

Miejscowy lekarz, który stał w kolejce po świeży schab i szynkę na pieczeń, udzielił mu już pomocy medycznej, po tym jak ranny mężczyzna wtoczył się do sklepu. Rana została wstępnie opatrzona czystym fartuchem rzeźnickim, a teraz wszyscy czekali, aż z karetki pogotowia, stojącej już na zewnątrz, przyniosą nosze.

Posterunkowy zdawał raport Rebusowi.

– Byłem niedaleko stąd, gdy ktoś powiedział mi, co się stało, i od razu przyszedłem, więc nie był tu dłużej niż jakieś

pięć minut. Zgłosiłem to do centrali przez radio.

Rebus odebrał raport posterunkowego przez radio w swoim samochodzie i postanowił się zatrzymać. W sumie trochę tego żałował. Na podłodze była rozmazana krew, która zabarwiła na czerwono rozsypane trociny. Nie wiedział, dlaczego niektórzy rzeźnicy nadal rozsypują trociny na podłodze. Na ścianie pokrytej białymi kafelkami dostrzegł ślad krwi wielkości odcisku palca i mniej charakterystyczny rozbryzg poniżej.

Ranny mężczyzna pozostawił też krwawe ślady wzdłuż drogi, którą przeszedł od połowy Lutton Place, wręcz nieprzyzwoicie blisko St Leonard's. Ślady kończyły się przy krawężniku.

Mężczyznę, Rory'ego Kintoula, ugodzono w brzuch. Tyle tylko było wiadomo. Nie chciał powiedzieć nic więcej o tym przykrym wydarzeniu. Zupełnie inne podejście do sprawy mieli ludzie, którzy w tym czasie byli w sklepie. Wszyscy wyszli już na zewnątrz i przekazywali swoje wersje wydarzeń tłumkowi, który zebrał się pod sklepem i z zaciekawieniem zaglądał przez okna do środka. Przypominało to Rebusowi scenki z sobotnich popołudni na St James Centre, gdzie grupki facetów zbierały się przed wypożyczalniami telewizorów w nadziei na poznanie wyników meczów ligowych.

Rebus przykucnął koło leżącego mężczyzny, jakby chciał go przestraszyć.

– To gdzie pan mieszka, panie Kintoul?

Ranny nie miał jednak zamiaru udzielić odpowiedzi na to pytanie.

Do Rebusa dotarł głos z drugiej strony szklanej lady chłodniczej.

– Duncton Terrace. – Mężczyzna, który to powiedział, miał na sobie pobrudzony krwią fartuch rzeźnicki i właśnie wycierał okrwawiony ciężki nóż w ścierkę. – To w Dalkeith.

Rebus spojrział na rzeźnika.

– A pan jak się nazywa?

– Jim Bone. Jestem właścicielem sklepu.

– I zna pan tego człowieka?

Kintoul próbował obrócić głowę, by zobaczyć twarz rzeźnika, jakby chciał wzrokiem wpłynąć na jego odpowiedź. Ale siedząc na podłodze, oparty o ladę, musiałby mieć szatańską umiejętność okręcenia głowy o sto osiemdziesiąt stopni, by tego dokonać.

– Chyba powinienem, nie? – odparł rzeźnik. – To w końcu mój kuzyn.

Rebus już miał coś odpowiedzieć, ale w tej chwili pojawili się sanitariusze z noszami na wózku; jeden z nich omal się nie wywalił na śliskiej podłodze. Dopiero kiedy postawili nosze przed Kintoulem, Rebus zobaczył coś, co na długo zapamiętał. Wewnątrz szklanej ludy chłodniczej znajdowały się dwie tabliczki z napisami. Jedna była wbita w kawałek wędzonej peklowanej wołowiny, a druga w płat surowej polędwicy wołowej. Jeden napis głosił: *Mięso na zimno*, a drugi po prostu: *Rozbiór. Rozbiór mięsa na zimno*. Rebus aż się wzdrygnął i ruszył w stronę drzwi.

W PIĄTEK PO PRACY Rebus zdecydował się na masaż. Była dopiero szósta, a obiecał Patience, że wróci do domu na ósmą. Poza tym uważał, że brutalne okładanie pięściami zrelaksuje go przed weekendem.

Najpierw udał się jednak do pubu Broadsword na duży

kufel lokalnego piwa. Gęste, ciemne piwo marki Gibson's Dark nie mogło już być bardziej lokalne, ponieważ pochodziło z Gibson's Brewery, browaru oddalonego o zaledwie sześćset metrów. Browar, pub i salon masażu. Rebus pomyślał, że gdyby dołożyć do tego dobrą hinduską restaurację i sklep spożywczy na rogu, otwarty do północy, mógłby tu mieszkać w całkowitym szczęściu do końca świata i jeszcze dłużej.

Wcale nie dlatego, że nie podobało mu się mieszkanie z Patience w Oxford Terrace. To była jakby druga strona miasta. Oczywiście elegancka dzielnica, w której mieszkała Patience, była odległa o całe światy od tego niemającego zbyt pochlebnej opinii krańca Edynburga. Rebus zastanawiał się, co ciągnie go w takie miejsca.

Powietrze wokół było przesycone jęczmiennym zapachem warzonego piwa, który współzawodniczył z mocniejszymi aromatami ze znacznie większych browarów miejskich. Broadsword był bardzo popularną piwiarnią, jak większość chętnie obleganych pubów w Edynburgu. Mógł się nawet pochwalić mieszana klientelą. Przychodzili tam zarówno studenci, jak i drobni pijaczkowie, a od czasu do czasu wpadali też biznesmeni. Lokal nie miał zbyt wielkich ambicji. Na jego plus można było zaliczyć jedynie to, że lali tam świetne piwo i mieli niezłą piwniczkę. Weekend już się rozpoczął i Rebus stał ściśnięty przy barze koło faceta, którego wielki owczarek niemiecki spał na podłodze między stołkami barowymi. Zabierał miejsce dla co najmniej dwóch stojących mężczyzn, ale nikt nie ośmielił się poprosić go, by się przesunął. Dalej, przy barze, ktoś pił, jedną ręką trzymając szklankę, a drugą, jak na godnego właściciela przystało, obejmował stojący wieszak na ubrania, który,

jak Rebus ocenił, musiał kupić w sklepie z używanymi meblami. Wszyscy w pubie pili to samo ciemne piwo.

Chociaż w najbliższej okolicy było co najmniej sześć pubów, tylko w Broadsword lano gibsona z beczki, bo pozostałe puby były powiązane umowami z dużymi komercyjnymi browarami. Rebus zastanawiał się, jaki wpływ na metabolizm będzie miało piwo wlewające się w jego wnętrzności, gdy Organ Grinder zabierze się do roboty. Zrezygnował z drugiego i poszedł do O-Gee's – jak Organ Grinder nazwał swój salon. Rebusowi podobała się ta nazwa. Brzmiała tak samo jak westchnienie, które wydawali klienci Grindera, gdy ten brał ich w obroty: „Oh, Jeez!”. Byli jednak na tyle ostrożni, by nie wzdychać tak zbyt głośno, bo Organ Grinder nie lubił, gdy używano imienia Bożego nadaremnie. To go złościło, a przecież nikt nie chciał dostać się w łapy rozzłoszczonego Organa Grindera.

Siedział teraz w swoim salonie z Biblią na kolanach, czekając na osobę umówioną na szóstą trzydzieści. Biblia była jedyną pozycją do poczytania w jego przybytku. Rebus trzymał już kiedyś Biblię w ręce i nie miał nic przeciwko powtórnemu zajrzeniu na jej strony.

I wtedy ktoś nachalnie wdarł się do salonu.

– Gdzie dziewczynki, co?

Nie dość, że nowy klient był niezbyt dobrze poinformowany, to jeszcze zionął alkoholem. Grinder nie miał zamiaru użerać się z pijakami.

– Źle trafiłeś, koleś.

Rebus już chciał wspomnieć intruzowi o paru pobliskich salonach, gdzie z pewnością zaoferowano by mu saunę w towarzystwie Tajek oraz inne niezwykle usługi, ale facet powstrzymał go, mierząc w niego grubym paluchem.

– John cholerny Rebus, ty sukinkocie!

Rebus zmarszczył czoło, próbując wywołać z pamięci tę twarz. Jego umysł wertował pliki złoczyńców, z którymi miał do czynienia w ciągu ostatniego dwudziestolecia. Mężczyzna spostrzegł jego zakłopotanie i rozłożył szeroko ramiona.

– Deek Torrance, nie pamiętasz?

Rebus pokręcił głową. Torrance zaczął posuwać się z determinacją do przodu. Rebus zacisnął palce w pięści, gotowy na wszystko.

– Byliśmy razem na szkoleniu spadochronowym – wyjaśnił w końcu Torrance. – Jezu, musisz to przecież pamiętać!

Nagle Rebus wszystko sobie przypomniał – całą czarną komedię ze swojej przeszłości.

PILI RAZEM W PUBIE Broadsword, wymieniając się historyjkami z życia. Torrance nie zagościł na długo w kompanii spadochronowej. Już po roku miał dosyć, a wkrótce potem wypisał się z wojska na zawsze.

– Jestem zbyt żywiołowy, John, i to mój problem. A ty? Jaki był twój problem z armią?

Rebus pokręcił głową i wypił kolejny łyk piwa.

– Mój problem, Deek? Nie potrafię go jednoznacznie określić. – Ale po chwili zastanowienia znalazł to słowo. Nagle przecież pojawił się Mickey, a teraz Deek Torrance. To musiały być „duchy”, pomyślał Rebus i zdał sobie sprawę, że wcale nie chciał być ich „panem Scrooge’em”. Postawił jeszcze jedną kolejkę.

– Zawsze powtarzałeś, że chcesz spróbować dostać się

do SAS – przypomniał mu Torrance.

– Nie dało rady. – Rebus wzruszył ramionami.

Przy barze ruch był jeszcze większy niż zwykle. W pewnej chwili Torrance został szturchnięty przez jakiegoś młodego faceta, który próbował się przepchać z kontrabasem przez cały tłumek.

– Nie mógłbyś tego zostawić na zewnątrz?

– Nie w tej okolicy.

Torrance zwrócił się do Rebusa:

– Widziałeś to?

Rebus tylko się uśmiechnął. Dobrze się czuł po masażu. Nikt nie wnosi nic małego do baru w tej okolicy, pomyślał i przyglądał się Deekowi Torrance'owi, który chrząkał w sobie właściwy sposób. Tak, teraz dobrze go sobie przypomniał. Tylko że dzisiejszy Torrance przytył, wyłysiał, twarz miał pooraną zmarszczkami i bardziej pucołowatą. Nawet głos miał zmieniony. Ale jedna rzecz pozostała ta sama: to jego charakterystyczne chrząkanie. Deek Torrance nigdy nie był zbyt gadatliwy, a teraz wręcz przeciwnie: miał wiele do powiedzenia.

– Czym się zajmujesz, Deek?

Torrance uśmiechnął się krzywo.

– Jesteś glina, więc raczej nie powinienem ci mówić. – Rebus był cierpliwy, a Torrance tak pijany, że jeszcze chwila, a ulegnie. Musi się w końcu wygadać. – Kupuję i sprzedaję, głównie sprzedaję.

– A co sprzedajesz?

Dawny kolega przysunął się do niego.

– Czy rozmawiam z policjantem, czy ze starym kumplem?

– Z kumplem – odparł Rebus. – Po służbie. Więc co sprzedajesz?

Torrance chrząknął.

– Wszystko, co tylko chcesz, John. Jestem jak sklep wielobranżowy... tyle że ja oferuję rzeczy, których oni nie mają na składzie.

– A co na przykład? – Rebus spojrzał na zegar nad barem. Knajpiane zegary zawsze spieszą się dziesięć minut, ale przecież nie mogło być już tak późno.

– Wszystko, co chcesz – odpowiedział Torrance. – Od dywanu po klamkę. Co chcesz.

– A zegarek? – Rebus zaczął nakręcać swój. – Muszę go nakręcać co parę godzin.

Torrance rzucił na niego okiem.

– Longines – powiedział, dokładnie artykułując słowo.
– Nie wyrzucaj go. Daj do przeczyszczenia i będzie w porządku. No wiesz, mógłbym ewentualnie zamienić się na rolexa.

– Więc sprzedajesz lewe zegarki?

– Czy ja to powiedziałem? Nie przypominam sobie. Sprzedam wszystko, John. Cokolwiek tylko klient sobie wymarzy. Po prostu mu to dostarczę. – Torrance mrugnął okiem.

– Słuchaj, o której stąd spadasz?

Torrance wzruszył ramionami i podciągnął rękaw marynarki. Nie miał zegarka. Rebus zaczął rozmyślać. Dotrzymał terminu wizyty u Grindera. Dawny kolega czekał na niego w poczekalni. Potem mieli dość czasu na piwo czy dwa, zanim powinien zbierać się do domu. Wypili po dwa... nie, po trzy. Możliwe, że zrobiło się trochę późno. Zwrócił na siebie uwagę barmana i puknął palcami w nadgarstek.

– Dwadzieścia po ósmej! – zawołał barman.

– Lepiej zadzwonię do Patience – zdecydował Rebus.

Ktoś jednak korzystał z aparatu telefonicznego i najwyraźniej chciał poromansować, bo zabrał słuchawkę aż za drzwi damskiej toalety, by nie przeszkadzał mu barowy hałas. Rozciągnął przewód tak, że można było stracić głowę, próbując dostać się do kibla. Rebus odczekał chwilę i zaczął się przyglądać widełkom słuchawki. A co mi tam, pomyślał. Nacisnął je i powrócił do pijących przy barze. Z damskiej toalety wyszedł młody facet i walnął wściekle słuchawką o widełki. Pogrzebał w kieszeniach, szukając drobnych, ale nic nie znalazł i ruszył w stronę baru.

Rebus dopadł telefonu i podniósł słuchawkę, lecz nie usłyszał sygnału. Spróbował jeszcze raz, nerwowo wykręcając numer. Na próżno. Coś pewnie się ułamało w słuchawce, gdy facet walnął nią o widełki. Dupa. Było już prawie wpół do dziewiątej. Do Oxford Terrace miał piętnaście minut jazdy. Sporo zapłaci za to spóźnienie.

– Wyglądasz, jakbyś potrzebował drinka – zauważył Deek Torrance, gdy Rebus dobił do niego przy barze.

– Wiesz co, Deek? – zaczął Rebus. – Moje życie to czarna komedia.

– He, he. Lepsze to niż tragedia, co?

Rebus zaczął się zastanawiać nad różnicą między tymi dwoma gatunkami.

Do domu wrócił dwadzieścia po dziewiątej. Prawdopodobnie Patience przygotowała kolację dla całej czwórki. Możliwe, że czekała na niego kwadrans, podgrzewając jego porcję, a potem wywaliła ją do kosza. Jeśli to była ryba, to chociaż kot się naje. W innym przypadku posiłek Rebusa trafi na kompost w rogu ogródka. To już się zdarzało, zbyt wiele razy. I niestety, nadal się powtarzało.

Nie był pewien, czy spotkanie starego kumpla albo zepsuty zegarek wystarczą za usprawiedliwienie.

Stopnie do mieszkania, którego drzwi wychodziły na ogród były wytarte i śliskie. Rebus wchodził ostrożnie, więc dopiero po chwili zauważył w świetle pomarańczowego światła, dochodzącego z latarni ulicznej, sportową torbę spoczywającą na ratanowej macie przed frontowymi drzwiami. To była jego torba. Rozsunął zamek i zajrzał do środka. Na ubraniach i parze butów leżała karteczka z wiadomością. Przeczytał ją dwukrotnie.

Nie próbuj dobijać się do drzwi. Są zamknięte na zasuwę. Odtoczyłam dzwonek. Telefon też będzie rozłączony na cały weekend. Następną część twoich rzeczy wystawię przed drzwi w poniedziałek rano.

Wiadomość nie była podpisana. Rebus gwizdnął, wypuszczając powietrze, i spróbował otworzyć zamek swoim kluczem. Bez efektu. Nacisnął przycisk dzwonka. Znowu nic. Począł chwilę, łudząc się, że przynajmniej Jenny przerwie tę ciszę. Albo Susan, przecież była niezłym ziółkiem. I mogła łamać serca samym wyglądem.

– Cześć, Patience! – zawołał. – Cześć, Susan. Cześć, Jenny. – Nadal cisza. – Przepraszam. – I naprawdę było mu przykro. – To jeden z tych przeklętych tygodni – powiedział do siebie, podnosząc torbę.

W NIEDZIELĘ RANO WIAŁ dość ostry wiatr, a słońce ledwo przebijało się przez chmury. Andrew McPhail dotarł wreszcie do Edynburga. Nie było go tu przez dłuższy czas

i jak zauważył, miasto bardzo się zmieniło. Wszystko wyglądało inaczej. Poza tym, że odczuwał niedogodność związaną ze zmianą stref czasowych, tak jak kilka dni temu, i był znacznie uboższy ze względu na nadmuchane londyńskie ceny. Szedł pieszo od dworca autobusowego do dzielnicy Broughton, trochę w bok od Leith Walk. Marsz nie trwał długo, lecz z każdym krokiem McPhail czuł coraz większy ciężar, choć jego torby były lekkie. Nie wyspał się wcale w autobusie, ale nie było to nic nowego. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio dobrze się wyspał, bez żadnych złych snów.

Słońce wyglądało tak, jakby miało za chwilę zniknąć z nieba. Nad Leith nadciągały ciężkie chmury. McPhail próbował przyspieszyć kroku. W kieszeni miał adres kwatery. Ubiegłej nocy dzwonił do właścicielki i na niego czekała. Przez telefon miała miły głos, ale nic więcej nie potrafił o niej powiedzieć. Zresztą mało go obchodził jej wygląd, byle za dużo nie gadała. Wiedział, że o jego wyjeździe pisały kanadyjskie gazety, a nawet kilka amerykańskich. Spodziewał się, że tutejsi dziennikarze też będą chcieli wydobyć od niego jakieś informacje. Aż się zdziwił, że udało mu się przemknąć przez Heathrow niepostrzeżenie. Wydawało się, że nikt nie ma pojęcia, kim jest, i był z tego bardzo zadowolony.

Nie chciał już nic więcej poza życiem w spokoju, choć może nie w takim spokoju, w jakim spędził ostatnie kilka lat.

Gdy wylądował w Londynie, zadzwonił do siostry i poprosił ją, by sprawdziła w informacji telefonicznej panią MacKenzie z Bellevue. Książki telefoniczne w Londynie nie były już tak przydatne jak kiedyś. Melanie ze swoją matką

Alexis wynajmowały kiedyś kwaterę u pani MacKenzie, zanim zamieszkali razem. Alexis samotnie wychowywała córkę, a pani MacKenzie okazała się nadzwyczaj sympatyczną gospodynią. Nigdy ich nie odwiedził, gdy u niej mieszkały – pani MacKenzie niezbyt by się to podobało.

Ostatnio nie wynajmowała pokoi, ale była dobrą chrześcijanką, a McPhail bardzo nalegał.

Stał pod jej domem. Był to zwykły jednopiętrowy dom o ścianach pokrytych szarym gruboziarnistym tynkiem i brzydkich dwudzielnych oknach. Wyglądał dokładnie tak samo jak domy po obu jego stronach. Pani MacKenzie otworzyła szybko drzwi, jakby już przy nich czekała. Pomarudziła coś o salonie i kuchni i zaprowadziła go na górę, by pokazać mu łazienkę i jego pokój. Nie był większy od więziennej celi, ale za to ładnie urządzone (z meblami z lat sześćdziesiątych, jak się domyślał). Wszystko było w porządku. Nowy najemca nie miał żadnych uwag.

– Jest śliczny – pochwalił panią MacKenzie, a ta wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: „oczywiście, że jest”.

– Zaparzyła herbatę – odezwała się. – Należę nam po filiżance. – Jeszcze sobie coś przypomniała: – I żadnego gotowania w pokoju.

Andrew McPhail pokręcił głową.

– W ogóle nie gotuję – oznajmił.

Znów o czymś pomyślała i podeszła do okna wciąż zasłoniętego firankami.

– O, proszę. Firanki można rozsunąć. I może sobie pan otworzyć okno, by wpuścić świeże powietrze.

– O, tak, lubię świeże powietrze – przytaknął skwapliwie. Obydwoje wyjrzeli na ulicę.

– To cicha okolica – powiedziała. – Nie ma zbyt dużego

ruchu. Oczywiście w ciągu dnia jest trochę miejskiego hałasu.

McPhail domyślił się, o czym mówiła. Po drugiej stronie ulicy był stary budynek szkolny okolony czarnym stalowym ogrodzeniem. Nie była to duża szkoła, prawdopodobnie podstawówka. Okno wychodziło na bramę, na prawo od budynku szkoły. Tuż za bramą znajdował się opustoszały o tej porze plac zabaw.

– Idę nalać herbaty – powiedziała pani MacKenzie.

Gdy wyszła, McPhail położył walizki na sprężynowym materacu pojedynczego łóżka. Obok stały małe biurko i krzesło. Przetawiał krzesło pod okno i usiadł. Odsunął małego szklanego krasnala, by oprzeć brodę o parapet. Nic nie przesłaniało mu widoku. Siedział tam, jakby o czymś marzył, patrząc na plac zabaw, aż do chwili, gdy pani MacKenzie zawołała go na herbatę do salonu.

– I jest też babka piaskowa! – dodała.

Andrew McPhail wstał i westchnął. Tak naprawdę to nie miał ochoty na herbatę, ale pewnie będzie mógł wziąć ją na górę i wypije później. Był bardzo zmęczony, wręcz wyczerpany, ale wreszcie wrócił w rodzinne strony i coś mu mówiło, że dzisiaj będzie spał kamiennym snem.

– Już idę, pani MacKenzie! – zawołał, odwracając wzrok od szkoły.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).